



PIOTR WŁÓDARCZAK

## ZOO-zwierzenia zootechnika

# Nieoczekiwana zmiana miejsc, czyli operacja świnia

Przygoda w Niemczech.

Preludium

Nasza krótka przygoda w Niemczech rozpoczęła się od telefonu od mojego przyjaciela:

- Piter, jedziemy do Niemiec do Cloppenburga! – krzyczał przez telefon rozentuzjasmowany. „Jutro” – dodał.

- Ale po kiego grzyba? Co będziemy tam robić? – zdziwiłem się, bo nie widziałem ekstra powodu, żeby tam jechać.

Zresztą jak można podróżować do kraju, w którym na motyla mówi się: „schmetterling”. W języku angielskim motyl to „butterfly”, we francuskim „papillon”, a w hiszpańskim „mariposa”. Wszędzie to brzmi tak ładnie i romantycznie, a tak sztywno w niemieckim. To tak, jakby gra wstępna się udała i rozochocony lub rozochocona brniesz dalej, a tu nagle Twój partner lub partnerka nie ma zębów i ubrana jest w stare barchany, od razu czar pryśnie. Mniej więcej tyle samo polotu mają Niemcy, choć ładne są i poukładane.

- Nooo... wszystko przez ten rozród, bo moje młode jarki nie mają baranów, żeby się z nimi krzyżować. Muszę kupić świeżą krew, nową genetykę, żeby ojcowie nie kryli swoich córek na pastwisku – wytłumaczył mi fachowo, co ja – jako zootechnik – doskonale zrozumiałem. Zmienność genetyczna to dobra rzecz, a nawet nie-

zbędna w jakiegokolwiek hodowli. Nadmienię, że jarka oznacza samicę owcy, bo owca to gatunek, a nie egzemplarz płci żeńskiej. Jarka nie oznacza też kogoś, kto będzie się jarać niewiadomymi używkami, równie dobrze można nazwać ją maciorą, choć ze świnia ma niewiele wspólnego. Owca to przeżuwacz z czterema żołądkami, a świnia jest wielożerna i monogastryczna.

- A daleko pojedziemy? – zapytałem, bo nie chciało mi się w taki upał (+ 37°C na zewnątrz) wsiąść do puszki zwanej autem i telepać się kilkaset kilometrów.

- Eee...,nie, 500-600 km ode mnie z domu, weźmiemy dużą Toyotę, mamy klimę i wszystko będzie git. Musimy pojechać za Hanower, a potem w Cloppenburgu jest aukcja owiec i tam mam zamówione trzy tryki (barany) owcy fryzyskiej z doskonałym pochodzeniem. To będą najlepsze barany tej rasy w Polsce.

A więc dobrze, postanowione, operacja Baran rozpoczęta!

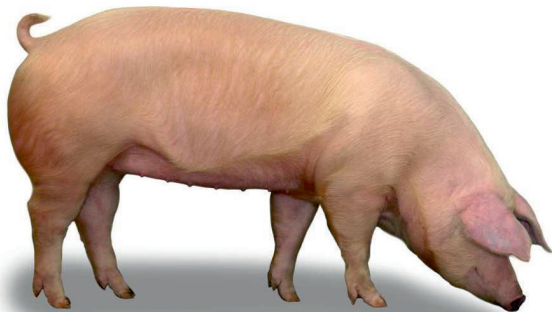
Wszystko będzie git?!

Tak zapewniał mnie Boss, ale nie było. Jechaliśmy zestawem: Toyotą Tacoma i przyczepą do przewozu zwierząt, więc jako ciężarówka musieliśmy posuwać się na autostradzie z prędkością 90 km/h, i podróż trwała dwa razy dłużej. 10 km po opuszczeniu naszej bazy w Polsce, bez ostrzeżenia, wysiadła klimatyzacja w aucie. Dookoła upał i duchota, a ona była i zdechła. Po kilku minutach zrobiło się swojsko, gorąco i wszystko wokół się lepilo, a przed nami było ponad 1 000 km do zrobienia w obie strony. Super! Dodatkowo śmierdziało we wnętrzu paliwem, bo

kolega zabrał ze sobą kilka kanistrów wypełnionych benzyną, z powodu oszczędności, bo w Niemczech kosztuje ponad 7 zł za litr. Od razu poczułem się jak podczas podróży maluchem za czasów komunistycznych. Brakowało, żeby jeszcze kłapę silnika otworzył dla zapewnienia chłodzenia (tak robiło się z fiatami 126p podczas długich podróży, żeby się nie zagrzały).

Niemile powitanie  
w Niemczech i nutka  
wspomnień

Nie chodzi o to, że ktoś był dla nas nie miły, że mieliśmy jakieś problemy na granicy, nie, nic z tych rzeczy. Ale kiedyś, gdy istniały dwa państwa niemieckie: NRD i NRF (zwana też RFN), to na granicach żandarmi wschodniej republiki szaleli z psami, teren otoczony był drutami kolczastymi i sceneria przypominała obóz pracy. Pewnego dnia, gdy sam przekraczałem granicę NRD/RFN, wschodni żołnierz postawił mnie przed sobą na baczność, zawołał kolegów w mundurach i ćwiczyli mnie przez 15 minut, po czym prawie stwierdzili, że ta osoba na fotografii w moim paszporcie to nie jestem ja. Podszrywam się pod kogoś i należy mnie odesłać. Kurka, pili jakiś kiepski samogon czy co? Jak to ja to nie ja? Na szczęście „prawie” robi wielką różnicę i jakoś w końcu mnie nie deportowano i pałą nie dzielono po łbie. Uratowała mnie wiza..., a raczej pani Wiza – nasza opiekunka grupy. Wytłumaczyła im, że ja, biedny polski student – syn chłopów i robotników, jadę do pracy do wschodniemieckiego zakładu rolnego, na fermę świń i będę uczyć się od nich, i poświęcę się budowaniu socjalistycznego państwa niemieckiego. Pogroźono mi palcem za to, że jestem mało do siebie podobny i przejechaliśmy szczęśliwie.



## Koniowóz ratuje nas z opresji

Zaraz po przekroczeniu granicy polsko-niemieckiej od razu wpadliśmy w ogromny korek, który ciągnął się kilometrami. Powodem zatoru był wypadek TIR-a i osobówek. Musiał przyjechać ciężki sprzęt do podnoszenia złomu. Staliśmy na autostradzie ciasno upakowani, samochód przy samochodzie, przez ponad 4 godziny, w pełnym słońcu i upale! Masakra! Gdyby w środku jakiegoś auta był pies, to służby i ekolodzy wybiliby szyby, a nami nikt się nie przejmował, mogliśmy zdechnąć i tyle. Wokół kierowcy białoruskich TIR-ów wzięli się za pichcenie kolacyjki i gotowali herbatkę, w lacuszkach i białych skarpetkach. Nie denerwowali się wcale, kierowcy widocznie są przyzwyczajeni do czekania i po prostu jedli. No, a potem zachciało się wszystkim siku, normalne. Pasażerowie biegali gdzieś po poboczu, usiłowali sforsować barierki, szukając trochę prywatności, a my? A my mieliśmy koniowóz – przyczepkę do przewozu animalsów. Mój kamrat wymyślił, że każdy z nas może sobie wejść do środka, zrobić siku na ściankę i nikt nie będzie się na nas gapić. Nasza przyczepa zamieniła się więc chwilowo w toaletę, w końcu konie i barany też w niej sikają, to czemu my nie możemy?

- A jak ktoś będzie się patrzeć, to kopnij w środku w jakąś dechę i daj odgłos paszczą, naśladuj konia, że niby jest w środku i się złości, a wtedy nikt się nie zorientuje – wytłumaczył Boss.

Potem wpadłem na pomysł, żeby zapraszać do przyczepki innych kierowców i każdy klient płaciłby nam 5 euro. W końcu były okoliczności awaryjne. Ale ta śmiała myśl nie zyskała poparcia. Po kilku godzinach ruszyliśmy wreszcie dalej, ale przez ten przestój musieliśmy zrezygnować z naszego motelu pod Cloppenburgiem (nie było już sensu

jechać do niego na 2-3 godziny) i spędziliśmy całą parną noc w samochodzie, jadąc powoli naprzód, i śpiąc raz po raz po godzinie, gdy nas bardzo muliło.

## Mała niespodzianka

O 7:30 rano dotarliśmy do Cloppenburga. Namierzyliśmy miejsce aukcji owiec i stawiliśmy się na wyznaczonym miejscu. Niemieccy farmerzy dziarsko potrząsali naszymi dłońmi na przywitanie, a potem oświadczyli, że nie ma naszych baranów. Myślałem, że mój towarzysz, niedoszły posiadacz pięknych samców, eksploduje i wyleci w powietrze z mocą wulkanu, który kiedyś tak dokazywał na Islandii. Okazało się, że chcieli sprzedać te barany poza swoim oficjalnym związkiem hodowców, na własną rękę, ale organizacja się o tym dowiedziała i położyła łapę na transakcji. Cena poszybowała wtedy tak w górę, że nie mieliśmy takiego grubego portfela, aby temu sprostać.

- To co ja teraz zrobię? Ludzie?! Przecież tłukłem się tutaj tyle czasu, wynająłem przyczepę i teraz mam wrócić z niczym? – rwał sobie włosy z głowy chłopak.

## Nieoczekiwana zmiana miejsc

Koledzy Niemcy trochę się skonfundowali i podrapali po głowie, a potem jeden z nich wyskoczył z nowym pomysłem i ni z gruszki ni z pietruszki krzyknął:

- Panie, ale ja mam tutaj niedaleko świnie! Nooo, możesz pan brać... w zamian. Po dłuższej chwili, w trakcie której ta myśl przebiła się do naszego mózgu, okazało się, że jeden farmer miał na zbyciu 2 knury fińskiej rasy Figen z linii Muscle Figen i chciał się ich pozbyć. To rasa bardzo podobna do Topigs Norsvin. Loszki mają długi korpus i długą linię sutków, a tym samym mogą wykarmić swoje

prosięta bez problemów, bez konieczności tworzenia mamek zastępczych. Knury tej rasy poprawiają bardzo mięsność, tak że w tucznikach komercyjnych często dochodzi do 61%. Poza tym są zdrowe jak ryba, w Finlandii nie ma nic, ani ASF, ani PRRS i innych takich.

- Ok, dawaj pan! – syknął przez zęby mój partner, po czym podjechaliśmy na chatę gospodarza po dwa okazałe knury. Weterynarz trochę był nieswój, bo nagle miał papierkową robotę i nie był zadowolony. Ale klient nasz pan.

No i tak dojechaliśmy do domu. Efekt był taki, że pojechaliśmy po owce, a przywieźliśmy knury. We wsi trochę się temu dziwili, ale szybko knury znalazły swój chlew i do dziś mają we wsi używanie i niezłe wzięcie wśród płci przeciwnej. I tak oto rosną już nowe fińskie świnki pochodzące z Niemiec na polskiej ziemi. Tyle że biedne jarki beczą trochę: „gdzie jest dla nas baran?”

Jest taki amerykański film zatytułowany: „Nieoczekiwana zmiana miejsc”, w którym dwóch starych i złośliwych magnatów finansowych założyło się ze sobą, że ze swojego managera zrobią bezdomnego, a z lumpa z ulicy ulepia dyrektora kierującego firmą. Ot, taką mieli zabawę i chcieli zobaczyć jak środowisko ukształtuje losy każdego z nich. Pamiętam, że owego lumpa grał lubiany aktor Eddy Murphy. Jednak panowie magnaci nie przewidzieli, że obaj panowie, na których prowadzono eksperyment, spotkają się, dogadają i wspólnie wyrolują owych starsuszków.

No, zaginione niemieckie owce raczej z nowymi knurami już się nie dogadają. Nie wiem do jakiego środowiska trafiły nasze brakujące owce, czy im się polepszyło czy pogorszyło, ale knury miały się wspaniale. W produkcji zwierzęcej środowisko bezwzględnie kształtuje produktywność zwierząt. ■

